

## WIĘZIEŃ CZY INTERNOWANY?

Ojciec mój, Stefan Kołodziejczyk (Fot. 1), zmarł 1 marca 1978 roku. Gdy po pewnym czasie przeglądałem i segregowałem pozostałe po nim dokumenty, największe wrażenie zrobił na mnie dokument, którego podniszczoną okładkę przecina po przekątnej wytłoczony czerwona czcionką napis: заключенный (Fot. 2). Słowo to w języku rosyjskim znaczy: więzień. Nie „internowany”. Gdyby o to chodziło, wówczas powinno być wytłoczone słowo „интернированный”. Skąd tego rodzaju wątpliwości? Ano stąd, że w czasach PRL okres, w którym Ojciec posługiwał się tym dokumentem przebywając w sowieckim łagrze, mógł być oficjalnie nazywany tylko okresem „internowania na terenie Związku Radzieckiego”. Cóż to za dokument? Otóż, jest to „czasowe poświadczenie prawa do kierowania samochodem”. Stwierdza ono, że więzień – imię, nazwisko i „otczestwo” (pochodna od imienia ojca) więźnia – „ma prawo kierowania samochodami 4-go SU łagru”. Poniżej jest podpis właściciela prawa. Nie mam wątpliwości, że widnieje tam dobrze mi znany podpis mojego Ojca. Dokument „wydano więźniowi 4-go SU łagru”. Wydała go komisja kwalifikacyjna Państwowej Inspekcji Samochodowej URKM UNKWD okręgu Rówieńskiego na podstawie protokołu Nr 69 z 28 czerwca 1940 r., w dniu 2 lipca 1940 r. Tyle można odczytać na wewnętrznych stronach tego dokumentu (Fot. 3).

Pobyty w sowieckiej niewoli to tylko część wojennego szlaku mojego Ojca. Warto prześledzić go w całości, bo prowadził przez niejedną kontynent i ocean. Cofnijmy się zatem do lat trzydziestych XX wieku. W dniu 3 listopada 1934 r. Ojciec został powołany do odbycia czynnej służby wojskowej w 1 Dywizjonie Pociągów Pancernych w Legionowie, gdzie po ukończeniu kursu rekruckiego i szkoły podoficerskiej pracował w warsztatach dywizjonowych jako mechanik samochodowy do końca służby wojskowej, to jest do dnia 25 września 1936 r. Zachowało się świadectwo ukończenia szkoły podoficerskiej wystawione 30 sierpnia 1935 r. (Fot. 4).

3 września 1939 r. Ojciec został powołany w ramach mobilizacji do 1 Dywizjonu Pociągów Pancernych w Legionowie, otrzymując przydział do kompanii warsztatowej jako mechanik sprzętu pancernego. Dowódcą Dywizjonu był ppłk. Jan Damasiewicz, a dowódcą kompanii – według notatek Ojca – por. Firczyk (prawdopodobnie kpt. Antoni Stefan Firczyk – dowódca parku w 1. Dywizjonie Pociągów Pancernych).

Składy bojowe Dywizjonu walczyły już w tym czasie na froncie. Zmobilizowani rezerwiści mieli być użyty przy organizacji zaplecza i uzupełnień dla składów bojowych. Z powodu szybkiego zbliżania się wojsk niemieckich do Warszawy zarządzono ewakuację Dywizjonu w kierunku Brześcia. Ojciec zanotował: „przez kilka dni ładowaliśmy sprzęt warsztatowy do pociągu, szykując się do ewakuacji warsztatów”.

Pociąg ewakuacyjny wyruszył z Legionowa 8 września. Był wielokrotnie atakowany przez samoloty niemieckie. Najcięższy nalot nastąpił 11 września, w okolicach Siedlec. Tak niewielką odległość zdołano pokonać w trzy dni. W wyniku tego nalotu zostały poważnie uszkodzone zarówno wagony, jak i tory, a ci, co nie zginęli, częściowo rozproszyli się.

Ojciec wspominał, że por. Firczyk wydał im rozkaz dotarcia na własną rękę do Lwowa, gdzie miała nastąpić reorganizacja. Ta zmiana kierunku była zapewne wymuszona szybkimi postęпами niemieckich zagonów pancernych od północy.

Ojciec wykonał rozkaz i po kilku dniach dotarł do atakowanego przez Niemców Lwowa. Spotkał tam kilkunastu żołnierzy ze swojego Dywizjonu, ale nie było wśród nich, niestety, nikogo z dowództwa. W poszukiwaniu dowódcy zgłosili się więc do Komendy miasta, gdzie dowiedzieli się, że „na stacji kolejowej Lwów” działa pociąg pancerny z 2. Dywizjonu Pociągów Pancernych w Niepołomicach. Z danych dotyczących tego Dywizjonu wynika, że mogło się to zdarzyć nie wcześniej niż 18 września, gdyż dopiero w tym dniu znalazły się we Lwowie jego dwa pociągi pancerne: nr 53 „Śmiały” i nr 55 „Bartosz Głowacki”. Przypuszczam, że Ojciec wraz z kolegami zameldował się u dowódcy pociągu nr 53, ponieważ „Śmiały” przyjeżdżał na Dworzec Łyczakowski – można powiedzieć reprezentacyjny dla Lwowa. Natomiast jeśli potraktujemy dosłownie przytoczone przez Ojca określenie „stacja kolejowa”, to możemy przyjąć z równym prawdopodobieństwem, że chodziło o stację Podzamcze, na którą wjeżdżały kilkakrotnie obydwie wymienione pociągi pancerne, a więc mogli rozmawiać także z dowódcą „Bartosza Głowackiego”. Rezerwiści z 1. Dywizjonu okazali się jednak niepotrzebni. Wrócili więc do dowództwa obrony Lwowa i brali w niej udział aż do kapitulacji. Ojciec mój prawdopodobnie nie wiedział, że na przedpolach Lwowa, w rejonie Zboisk, toczyła zaciepły bój z Niemcami 10. Brygada Kawalerii pod dowództwem płk. dypl. Stanisława Maczka. Była to w 1939 r. jedyna – całkowicie sformowana i wyszkolona – zmotoryzowana jednostka polska. Jakże długa i ciemista droga wiodła Ojca w jej szeregi odtworzone w ramach 1. Dywizji Pancerniej w Szkocji w 1942 r.

20 września 1939 r. do bronionego przed Niemcami Lwowa podeszły od wschodu wojska sowieckie, które przekroczyły granicę polską 17 września. Gen. Langner, dowódca obrony miasta, 22 września postanowił poddać im miasto, choć amunicji i żywności starczyłoby jeszcze na długo. Sowieci zagwarantowali nie tylko puszczenie wolno wszystkich szeregowych i oficerów po złożeniu broni, ale nawet pomoc w dotarciu na Węgry lub do Rumunii dla tych, którzy chcieliby nadal walczyć z Niemcami na innych frontach. W rzeczywistości olbrzymia większość obrońców Lwowa została wzięta do niewoli, w której bynajmniej nie przestrzegano konwencji genewskich. Wojska sowieckie wkroczyły do miasta dwie godziny przed uzgodnionym terminem. Enkawudziści od początku przejawiali szczególne zainteresowanie polskimi oficerami. Później, po całkowitym opanowaniu Lwowa, poszukiwali i aresztowali nawet nie zmobilizowanych oficerów rezerwy. Część szeregowych podobno wypuścili. Mojego Ojca z kolegą schwytyli na dworcu, gdy, po złożeniu broni, zamierzali opuścić miasto pociągiem.

Całymi dniami, przez dziesiątki kilometrów, pędzili ich pieszo, etapami. W Szepetówce na przełomie września i października obóz był dopiero organizowany. Zgromadzeni tam jeńcy, zwłaszcza ranni, przebywali w potwornych warunkach. W innych obozach przejściowych i miejscach postoju było podobnie. Jedli brukiew i cuchnące śledzie, spali w brudzie na klepiskach jakichś pomieszczeń gospodarczych. Ba, żeby to można było spokojnie spać. Zimno, głód, robactwo – to nie wszystkie ku temu przeszkody. W środku nocy wyciągali ich na przesłuchania, kazali pisać lub mówić życiorys, porównywali z poprzednim.

Każde słowo. Nie daj Boże pomylić się. Uznano by to zaraz za dowód fałszywych zeznań, ukrywania tożsamości. Zawzięcie szukali oficerów, ukrywających się wśród szeregowych, i podoficerów. Mojego ojca przesłuchiwali wielokrotnie. Wydawał im się bardzo podejrzany ze swoją zażywnością i rękami nie zniszczonymi fizyczną pracą. W końcu jednak dali mu spokój.

W tym samym mniej więcej czasie, a może trochę później, dokładnie już tego nie ustalę, moja Matka zetknęła się z kimś, kto był w pociągu ewakuacyjnym 1. Dywizjonu i widział w nim swojego Ojca. Po wielokrotnym bombardowaniu pociągu w okolicach Siedlec i rozproszeniu jadących nim rezerwistów i członków rodzin kadry, człowiek ten wrócił po prostu do domu. Twierdził, że skoro Ojciec mój nie wrócił, to pewnie zginął w czasie nalotu. Widocznie był mniej subordynowanym żołnierzem i nie przyszło mu do głowy, że po czymś takim można jeszcze myśleć o kontynuowaniu walki. Pomimo że mijały miesiące, a potem nawet lata, Matka moja nie wierzyła w śmierć męża. Wciąż czekała na jakąś wiadomość.

W sporządzonych po wojnie notatkach, których fragmenty tu cytuję, wykorzystywanych przy redagowaniu kolejnych życiorysów, niezbędnych, między innymi, przy ubieganiu się o pracę, pisząc o obozach, w których przebywał po „internowaniu przez Armię Czerwoną”, Ojciec wymienił nazwy miejscowości w następujący sposób: „...Szepletówka, Radziwiłłów koło Brodów, okolice Tarnopola, Starobielsk, itd.”.

Mógł zginąć każdego dnia w czasie wojny, jednak stwierdzenie, że był w obozie starobielskim szczególnie napawa grozą. Wiadomo bowiem, że Starobielsk zajął miejsce w dziejach martyrologii narodu polskiego obok Kozielska i Ostaszkowa. Niemal wszyscy polscy oficerowie i funkcjonariusze państwowi więzieni w tych obozach zostali bestialsko zamordowani, co obecnie przyjęto określać łącznie jako zbrodnię katyńską.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia po przeczytaniu tej notatki, zastanawiałem się, czy nie zachodzi tu jakaś pomyłka, ponieważ nie pamiętam, by Ojciec kiedykolwiek akcentował fakt pobytu w obozie starobielskim. Biorąc pod uwagę, że we wrześniu 1939 r. był tylko podoficerem, mało prawdopodobne wydało mi się osadzenie go w obozie przeznaczonym dla oficerów. Powyższe wątpliwości skłoniły mnie do podjęcia próby ich wyjaśnienia na podstawie dostępnych dokumentów, publikacji. W rezultacie, odpowiadając na pytanie, czy Ojciec mój mógł na którymś z etapów trafić do Starobielska, mogę stwierdzić, że mógł, i to nawet dwukrotnie.

Pierwszy raz w październiku 1939 r., kiedy to Sowieci przemieszczali wielkie zgrupowania jeńców z zajętych terenów polskich w głąb Rosji i Ukrainy. Umieszczano ich w przejściowych obozach, często prowizorycznych i mocno przepelnionych. Dopiero w listopadzie NKWD zakończył segregowanie i rozlokowanie jeńców. Z rejonu Lwowa, gdzie Ojciec został wzięty do niewoli, wiedzie prosta, długa droga na wschód, do Starobielska. Wiadomo, że w październiku byli tam zarówno oficerowie, jak i szeregowi. Józef Czapski, który dostał się ze swym szwadronem do sowieckiej niewoli w okolicach Lwowa, a następnie pieszymi i kolejowymi etapami został skierowany do Starobielska, napisał we wspomnieniach, że z przeładowanego obozu wywieziono w końcu października 5000 szeregowych, pozostawiając prawie wyłącznie oficerów, spośród których ocalało z późniejszej rzezi zaledwie kilkudziesięciu. Inne źródła podają, że szeregowi ze Starobielska

byli przewiezieni bądź do kopalń i stalowni Zagłębia Dnieprowskiego, bądź z powrotem na tereny Małopolski Wschodniej i w większości wykorzystani jako darmowa siła robocza do budowy dróg. Ojciec mój musiał znaleźć się w tej drugiej grupie, skoro zanotował, że, po okresie etapów i przesłuchań, został w końcu zatrudniony jako kierowca w bazie transportowej obsługującej budowę dróg. Z tego okresu pochodzi właśnie zachowane „czasowe poświadczenie prawa do kierowania samochodami 4-go SU łagru”, wystawione przez NKWD w lipcu 1940 r., w Okręgu Rówieńskim.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej w czerwcu 1941 r. rozpoczął następny, tragiczny okres dla jeńców i więźniów polskich. NKWD przystąpił do likwidacji lub ewakuacji więzień i obozów. Likwidacja więzień polegała najczęściej na wymordowaniu więźniów. Ewakuacja również powodowała duże straty i koszarne cierpienia tych, którym udało się przeżyć. Kolumny jeńców pędzono pieszo na wielkich przestrzeniach, w szaleńczym tempie, często prawie bez wyżywienia. Kto nie wytrzymał, ten zostawał na drodze, przebity bagnetem. Mojemu Ojcu też nogi odmawiały posłuszeństwa. Wspominał, że przeżył te etapy tylko dzięki pomocy kolegów, którzy, gdy siał, brali go pod ramiona i prowadzili, a chwilami prawie nieśli. Jest bardzo prawdopodobne, że właśnie wtedy mógł już po raz drugi trafić do Starobielska. Z ujawnionych w 1990 r. dokumentów NKWD wynika, że jeńcy polscy z tzw. obozu lwowskiego, zatrudnieni w liczbie 14 135 przy budowie drogi Równe – Lwów, zostali ewakuowani w czerwcu 1941 r. do obozu starobielskiego. Straty podczas ewakuacji wyniosły 1 834 osoby.

Już pod koniec sierpnia 1941 r. przybyła do obozu starobielskiego polsko – sowiecka komisja prowadząca rekrutację do tworzonej Armii Polskiej, pod dowództwem gen. Władysława Andersa. Żołnierze tej armii byli wreszcie wolni, ale formowanie jednostek przebiegało w bardzo trudnych warunkach. Ojciec opowiadał mi o srożej zimie 1941/42 roku, w czasie której mieszkali w namiotach i ziemiankach. Nogi, nadwyreżone latem na etapach, uległy teraz odmrożeniu.

1 kwietnia 1942 r. Ojciec mój wyruszył ze swoją jednostką przez Krasnowodsk, Morze Kaspijskie, Iran, Zatokę Perską, Morze Czerwone i Suez, do Palestyny. Tam przebywał w obozie rezerw Naczelnego Wodza do momentu, gdy podjęto decyzję o przetruceniu części wojska drogą morską do Wielkiej Brytanii. Płynęli praktycznie nieuzbrojonymi statkami, znów najpierw przez Morze Czerwone i dalej wzdłuż brzegów Afryki, zawijając do Adenu, Durbanu i Capetown. U wybrzeży Afryki jeden ze statków wiozących polskich żołnierzy został storpedowany i zatonął. Potem, po opłynięciu Przylądka Dobrej Nadziei, z obawy przed łodziami podwodnymi nieprzyjaciela grasującymi na Atlantyku, skierowali się ku brzegom Ameryki Południowej, następnie na północ do wybrzeży Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, by wreszcie przez północny Atlantyk, szlakiem konwojów, dotrzeć do Liverpool w lipcu 1942 r.

Od lutego 1942 r. gen. Stanisław Maczek formował już swoją 1. Dywizję Pancerną. Po przeszkoleniu w Szkocji i rocznej praktyce w wytwórni sprzętu pancernego w Aldershot (Anglia) Ojciec mój został wcielony do 1. Pułku Pancernego stacjonującego w Duns, w Szkocji (Fot. 5). Dokładny przydział to Kompania Dowodzenia, Czołówka Naprawcza.

W 1944 roku 1. Pułk Pancerny został przerzucony ze Szkocji do Anglii (Southampton), a następnie na barkach desantowych pod osłoną ognia artylerii okrętów marynarki wojennej wziął udział w lądowaniu w Normandii.

Swój szlak wojenny w Europie opisał Ojciec w skrócie w sposób następujący. „1. Pułk Pancerny wszedł do akcji pod Caen biorąc udział w ciężkich bojach o „Wał Atlantycki”, aż do wzgórza 262 „Maczuga”, które Pułk zajął odcinając odwrót Niemcom wycofującym się z Normandii. Następnie skierowano Pułk przez Ruen i Pas de Calais do Belgii, gdzie przeszliśmy przez Ipres, St. Nikolaus, Gandawę i inne miejscowości, po zdobyciu których dotarliśmy do Holandii, gdzie znów ciężkie walki o miasta: Bredę, Tilburg, Osterhout aż do Nijmegen, czyli cała prowincja Nord Brabant. Następnie przez północno-wschodnie tereny Holandii nastąpiło uderzenie na Emden już na terenach niemieckich, po zdobyciu którego uderzaliśmy w kierunku Wilhelmschafen, gdzie na przedpolach w dniu 9.V.1945 r. zastał nas koniec wojny. Do demobilizacji, tj. do dnia 13.IX.1946 r. staliśmy na okupacji w miejscowości Lindern (Krejs Cloppenburg, land Oldenburg). Do Polski wróciłem 19.IX.1946 r.”. Ojciec zanotował być może datę powrotu do Warszawy, gdyż fakt zarejestrowania się na granicy polskiej w Legnicy został odnotowany z datą 18.IX.1946 r. w jego zachowanej książce żołdu w języku angielskim (Fot. 6 i 7). Przechował także do końca metalową odznakę 1. Pułku Pancernego (Fot. 8).

Przeglądając po pewnym czasie ponownie pożółkłe papiery Ojca natknąłem się na rękopis, na który wcześniej nie zwróciłem uwagi. Jest to projekt pisma skierowanego do ministra do spraw kombatantów. Ojciec zwracał się w nim z prośbą o spowodowanie ponownego, rzetelnego przeanalizowania jego udziału w wojnie i przyznanie mu przez ZBOWiD (Związek Bojowników o Wolność i Demokrację) właściwych praw kombatanckich.

Pamiętam, że z wielkimi oporami zdecydował się na wstąpienie do tej organizacji kombatanckiej. Pomimo różnych nacisków trzymał się zawsze z dala od wszelkich struktur komunistycznych. Żartował, że odwzajemnia w ten sposób brak większego zainteresowania jego osobą w latach czterdziestych i pięćdziesiątych. W końcu uległ jednak namowom kolegów, a zwłaszcza jednego, Stanisława Jakubiaka, z którym przebył cały szlak bojowy 1. Dywizji Pancerniej, dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka. Zasadniczym argumentem był fakt wstąpienia do ZBOWiD większości przebywających w kraju żołnierzy Maczka i utworzenia przez nich, w ramach tej organizacji, koła pancerniaków. Na czele koła stanął gen. Franciszek Skibiński szef sztabu, a następnie dowódca 10. Brygady Kawalerii (zmotoryzowanej), która po kampanii wrześniowej i francuskiej weszła w skład wielkiej jednostki dowodzonej przez gen. Maczka.

Towarzyszyłem Ojcu zaproszonemu przez kolegów kombatantów na uroczystości związane z trzydziestą rocznicą największej bitwy stoczonej przez 1. Dywizję Pancerną w 1944 r. w okolicach Falaise i Chambois, we Francji. Organizatorem obchodów było wspomniane koło pancerniaków. W studiu telewizyjnym przy ul. Woronicza w Warszawie na zamkniętym pokazie obejrzelśmy film, w którym głównie gen. Skibiński opowiadał o Dywizji. (Dokumentalne zdjęcia z walk 1. Dywizji Pancerniej mogliśmy obejrzeć w telewizji dopiero w 1990 r.) W południe nastąpiło uroczyste złożenie wieńców na Grobie Nieznanego Żołnierza. W dzienniku telewizyjnym była z tego wydarzenia wieczorem nawet mała

migawka, bo wówczas już oficjalnie wspomniano, że o wolność Polski walczyli również (!) żołnierze AK i Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Komunistyczna władza tworzyła pozory uznania ich zasług. Przyznając odznaczenia wabiła ku sobie dla upozorowania posiadania moralnego prawa do ich nadawania. Odznaczenia brytyjskie można było wtedy otrzymać też tylko za zgodą i pośrednictwem władz PRL. A oni, kombatanci, wówczas już ludzie kilkudziesięcioletni, nie widząc na swoim horyzoncie czasowym żadnych szans na zmianę sytuacji, w jakiej znalazła się Polska, przyjmowali tę namiastkę laurów, o których zapewne skrycie marzyli, wyzwalając z okupacji hitlerowskiej połowę Europy. Niestety tę bez Polski.

Za namową kolegów pancerniaków dopiero zbliżając się do wieku emerytalnego Ojciec zdecydował się wystąpić o przyznanie praw kombatanckich, co w przypadku nadania jednocześnie odpowiedniego odznaczenia mogło zapewnić podwyższenie niewielkiej emerytury. Do okresu kombatanckiego nie chciano jednak wliczyć Ojcu pobytu w niewoli sowieckiej, określając go jako internowanie. Według kryteriów stosowanych przez ZBOWiD, dopiero od momentu, gdy Ojciec mój został wcielony do 1. Pułku Pancernego 1. Dywizji Pancerniej dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka, rozpoczął się w jego życiu okres, za który można było przyznać mu prawa kombatanckie, obok września 1939 r. Stwierdzono to w zaświadczeniu Nr 384075, wydanym 13 kwietnia 1976 r. (Fot. 9). Zdaniem Ojca, brakowało co najmniej trzech lat, podczas których trwała wojna i ani z własnej woli, ani z rozkazu władz RP, nie zdjął munduru i nie przestał być polskim żołnierzem. Statut ZBOWiD przewidywał przyznanie praw kombatanckich za pobyt w obozach jenieckich i koncentracyjnych, ale tylko niemieckich. Ojciec nie mógł się pogodzić z taką oceną swej siedmioletniej wojennej służby żołnierskiej.

Interwencja w ministerstwie, jak można się było spodziewać, nie odniosła żadnego skutku w tym zakresie. Jednak w kwietniu 1978 r. nadeszło ze ZBOWiD zaproszenie dla Ojca na uroczyste posiedzenie plenarne „z okazji rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem”, w czasie którego miał być udekorowany odznaczeniem nadanym mu przez Radę Państwa PRL. Uroczystość miała się odbyć 5 maja w Pałacu Kultury i Nauki. Ojciec, jak wspominałem na początku, zmarł 1 marca 1978 r. Nie dociekałem, jakie odznaczenie mu przyznano. Wydało mi się to wówczas bez znaczenia. Na pogrzebie był sztandar sekcji ZBOWiD i kilku pancerniaków, ze Stanisławem Jakubiakiem na czele, oraz sznur nowiutkich polskich fiatów z Fabryki Samochodów Osobowych na Żeraniu, w której Ojciec pracował od lat 50. aż do śmierci. W czasie przenoszenia trumny z karawanu na cmentarz, kierujący fiatami włączyli klaksony. Potężny dźwięk wibrujący w przedwiosennym powietrzu wystraszył ptaki ze starych drzew rosnących na cmentarzu w Żbikowie i wzbił się wraz nimi ku niebu.

Leszek Kołodziejczyk